

**32**

**09/07**

**ONLINE**

**PORTRET**

Nina Olszewska

# Piotruś Pan też był kobietą



Niedawno mama zapytała, jak widzę siebie za pięć lat. Odpowiedz była natychmiastowa i oczywista: „No jak to jak? W blasku fleszy”. Żarty żartami, ale wizja mnie jako poważnej matrony, z dziecięciem kwilącym w ramionach, nie wchodzi za bardzo w grę w tej dekadzie, nie przed trzydziestką. Nie jestem zresztą wyjątkiem. Zdecydowana większość moich dwudziestoparoletnich znajomych patrzy na życie, świat i swoją przyszłość podobnie. Dane statystyczne potwierdzają moje opinie: Europejczycy przedłużają sobie młodość poprzez kolejne kierunki studiów, podróże zagranicnie w celach zarobkowych tudzież poznawczych, odsuwają stabilizację na starość, czyli lekko licząc – po trzydziestce właśnie. Zbiorowa ucieczka przed dorosłością?

Bohaterka książki Katarzyny Nowak „Kobieta w wynajętych pokojach” wciąż jest kobietą niezamężną, bezdzietną, poszukującą: siebie, właściwego partnera i miejsca na Ziemi. Ma 42 lata, czyli magiczne „30” przekroczyła już dawno, jednak sprawia wrażenie dziecka. Sama nie wie, czego chce, nie wie, co jest dla niej najlepsze. Kieruje się odruchami serca i w kryzysowych momentach ucieka. Zagubiona, najlepiej czuje się w sytuacjach typowo tymczasowych, przejściowych i niewymagających dokładnego określenia, sprecyzowania. Żyje chwilą. Nawet jej sytuacja zawodowa jest nie do końca uregulowana. Angażuje się w związki, choć nie chce się wiązać, żyje samotnie, choć szuka bliskości, opieki, czułości, zrozumienia, wsparcia, nie lubi sama spać, lecz lubi sama mieszkać... Absurd? Należy jej współczuć czy raczej opowiadać jej historię jako bajkę „ku przestrodze” dla małych dziewczynek?

Przede wszystkim tej pani trudno nie lubić. Pech, lub – jak kto woli – uboczny skutek świetnego stylu prowadzenia narracji. Ponieważ cała książka jest utrzymana w bardzo szczerzej, bezpośredniej, choć nieco chaotycznej tonacji. Portret bohaterki też nakreślony jest bez zbędnego owijania w bawełnę, bez tworzenia niepotrzebnego klimatu tajemniczości czy jakiegokolwiek usprawiedliwiania dziwnych i złych chwilami poczynań kobiety. Jest jaka jest, akceptuje siebie i czytelnik nie ma innego wyjścia – też musi ją zaakceptować, a nawet stanąć po jej stronie. Przecież kobietę uparcie szukającą szczęścia i miłości można usprawiedliwić nawet, gdy popełni głupotę piramidalnych rozmiarów lub mocno ryzykownie balansuje na granicy moralności. A że niedojrzała, infantylna, czasem okrutna w swym postępowaniu, egoistka? Kto nie jest zainteresowany swoim losem i nie pragnie dla siebie tego, co najlepsze, niechaj pierwszy rzuci kamieniem? Żadnych kamieni?

Związek z księdzem, romans z młodszym mężczyzną... to już nie bulwersuje, nie takie rzeczy literatura widziała, dlatego darowałabym sobie przymiotnik „szokująca” w odniesieniu do

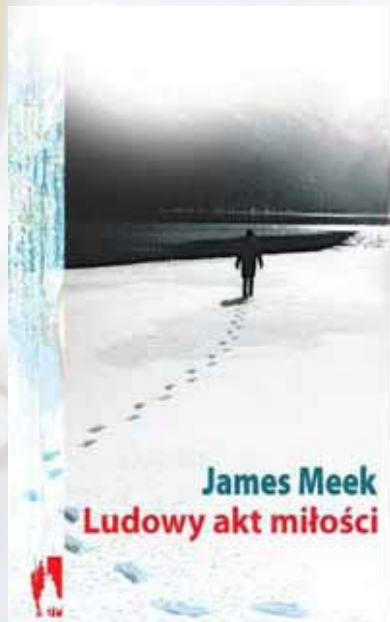
tej książki. Powieść Nowak w ciekawy sposób pokazuje, jak przesunęła się granica tolerancji, bo nie da się ukryć, że bez względu na starania władz świeckich i duchownych, w społeczeństwie coraz mniej zjawisk budzi zgorszenie. Zetknięcie bohaterki z matką kilkanaście lat młodszego kochanka nie przypomina burzy z piorunami, nie jest problemem.

Czy mogę więc polecić książkę, którą „Życia na gorąco” uznało za świetną lekturę na wakacje? Mogę. Na pewno jest to niezła powieść na plażę czy do pociągu. Chwilami zabawna, lekko napisana, na pewno nie należy do literatury przeintelektualizowanej. Sugeruję jednak potraktowanie jej też w sposób troszkę bardziej poważny, bo trudno Katarzynę Nowak upchnąć w jednej szufladzie z zabawnymi kobietkami notującymi co wieczór w swych pamiętniczkach wahania wagi ciała. „Kobieta...” to niezłe studium zagubienia, strachu przed odpowiedzialnością, przed stabilizacją, to historia dziewczynki, której wcale nie uśmiecha się dorosłość, i która jeszcze nie wie, jak to zrealizować, ale ma mocne postanowienia przeżycia wyjątkowo szczęśliwego życia.

*Katarzyna T. Nowak, Kobieta w wynajętych pokojach,  
Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 2007.*

Anna Rau

## Czy kastracja może uratować świat?



Jak by tu podrobić i przelać na papier ton rosyjskiej duszy? Czy którykolwiek z zimnokrwistych zachodnich Europejczyków jest w stanie wydobyć z siebie ten dziwny, chwytający za serce dźwięk – rzewny, ale ani trochę nie tchnący słabością, mocny, ale i pełen przecucia wszechpotężnego determinizmu? Nie wystarczy umieścić akcję utworu wśród drzew nieprzebytej tundry, doprowadzić przed oczy czytelnika kilku brodatych postaci, bodących niebo futrzanymi czapkami, i co drugie słowo wtrącać *spasiba* i *prosit*, aby uzyskać szlachetny efekt podszytej szałem melancholii, dobrej powieści rosyjskiej. Jakim więc sposobem udało się to arcytrudne zadanie angielskiemu pisarzowi Jamesowi Meek, którego „Ludowy akt miłości” to nawiązanie do najlepszych wzorców rosyjskiej literatury?

Zawiązanie akcji powieści sięga końca dziewiętnastego wieku, gdy jeden z głównych bohaterów męskich książki, Kirił Iwanowicz Samarin, przedkłada swojemu stryjowi prośbę o zmianę *otczestwa*: chce nosić imię swojego rozsądnego przybranego opiekuna, a nie rodziciela, o którym nic nie wie! I choć stryj wtedy wyperswadował mu ową papierową rewolucję, nie zdołał wpłynąć na upartą, młodą duszę swego wychowanka, i ten wyrósł na młodzieńca inteligentnego, odważnego oraz ceniącego ideały, a zatem kłopotliwego. A że i czasy były niespokojne, to dzięki owym cechom młody Samarin wylądował w końcu na dalekiej (nawet ja dla Rosjanina) Syberii – z bagażem doświadczeń, zasmolonymi papierami i tęsknotą w duszy. Tak się stać po prostu musiało – skoro jego dorosłość zainicjowało uczucie do młodej, pięknej i pachnącej prochem (z przemycanej w tobołkach bomby) kobiety – Katii Orłowej, zdecydowanej na wszystko rewolucjonistki. Jakie czasy, takie kobiety! – po wsiach chłopcy rozliczają się ze swoimi feudałami w odwecie za wielowiekową, niemal niewolniczą służbę; cudzoziemskie watahy pustoszą, mordują i gwałcą, a i sami Rosjanie nie mają nad sobą litości, tocząc bratobójcze walki o dominantę wybranego systemu władzy (dawna „Biała Gwardia” kontra Czerwoni). Samarin uczestniczy w tym wszystkim – w końcu ucieka z Białego Ogrodu, obozu dla katorżników, a raczej zostaje zabrany przez tajemniczego Mohikanina jako żywa spizarnia na ciężkie czasy... – i atmosfera wokół niego gęstnieje, emocje zaczyna się kłębić, życie coraz bardziej przyspiesza i z coraz większym trudem uchyla się od śmigających gęsto kul. Nagle w okolicy osiada oddział Czechów-dywersantów, którzy próbują walczyć o wolność według swojej miary i interesu. Poczucie zagrożenia (ale i pokręconej metafizyki) u miejscowych potęguje obecność tajemniczych mężczyzn z sekty kastratów, obłąkanych szałem zbawienia wszechświata. I co najgorsze: sfera przynależna każdemu człowiekowi, to, czego nie można odrzucić, uczucia – w takich czasach stają się niszczycielskie swą mocą, bezlitosne przez niemożność spełnienia,

przeznaczone dla chaosu!

Czytelnik dowiaduje się o tym dzięki głównej postaci żeńskiej „Ludowego aktu...”, zachwycającej swą niezależnością kobiecie. To ona – Anna Pietrowna, niby-wdowa, opłakująca zaginionego męża, namiętnie oddana małoletniemu synowi, jest centrum tych wszystkich wydarzeń, gdyż to jej zdjęcie/osoba/wspomnienie uczestniczą we wszystkich kluczowych momentach powieści. Anna nie jest typem smukłej i bladej topoli, co omdlewająco wspiera się na ramieniu pana i opiekuna, lecz jest pełną temperamentu i mądrej samoświadomości osobą. Kobieta, która miała siłę zaakceptować porzucenie przez ukochanego i odwagę, aby (już samotna) zacząć pracować w pasjonującym ją (i trudnym w owym czasie dla jej płci) zawodzie fotografa. Odkąd w dzieciństwie udało się jej zrobić swoje pierwsze zdjęcie, przedstawiające ją samą w silnych promieniach słońca, pozostała tak nieugięta, cokolwiek się działo – gdy los mieszał ją w różne historie za pośrednictwem męża czy innych nieposkromionych mężczyzn w swoim otoczeniu... Meek stworzył bowiem na kartach swej powieści rzeczywiście pełnokrwistych bohaterów literackich, dzięki którym koduje w czytelnikach pogłębiony i bardzo prawdopodobny portret psychologiczny Rosjan tamtych czasów – a to wszystko na tle realistycznie oddanych obrazów narodzin socjalizmu, tego prawdziwego, prowincjonalnego: ukształtowanego przez ruchy robotnicze i studenckie, przez przeliczne walki etniczne, na tle aktów zemsty i „bezinteresownego” odwetu. I jeszcze ta sugestia, iż miłość to AKT ludowy, „dekret” – przymus ludowej, czyli pospolitej, potrzeby: jako lekarstwo na wszechobecną krew, niby przepaska na oczy w chwili rozstrzelania, niczym opatrunek na umysł, obolały od widoków okropności. Meek oszczędza swego czytelnika (i tym samym potwierdza własną klasę pisarską), gdyż nie epatuje sugestywnymi opisami owych traum (w czym wręcz lubują się niektórzy pisarze), a wstrzemięźliwie przemyca je niejako, czy nawet raczej muska, w wypowiedziach swoich bohaterów. Do tego trzeba podkreślić, iż wkłada w ich usta naturalne, prawdopodobne, a jednocześnie rzeczywiście godne naśladowania pod względem literackim wypowiedzi – to prawdziwa uczta dla purystów językowych (wielki ukłon w stronę tłumacza), gdyż uprawdopodobnić, nie udziwniając jednocześnie języka i nie uczynić sztywnym oraz nienaturalnym, to ogromna sztuka.

Powieść jest wciągająca i pociągająca, czytanie „Ludowego aktu miłości” rzeczywiście staje się wręcz *aktem* – długotrwałą, lecz pożądaną, czynnością. Czytelnik w to „wpada”, w pośpiechu niczym spóźniony podróżnik do przedziału kolei transsyberyjskiej i kolibocząc się jedzie, jedzie – w końcu jakby w trans wpada i aż mu szkoda kończyć...

*James Meek, Ludowy akt miłości,  
przeł. Piotr Siemion i Maciej Ignaczak,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2007.*



Jarosław Czechowicz

## Outsiderzy przed trzydziestką

Ludzie z rocznika '78 to obecnie albo zaganiani w rytmie narzuconym przez prężny kapitalizm właściciele kupionego po horrendalnej cenie M i rodzice jednego lub dwójki pociech (którym życiową drogę próbują uślać różami i sprawić, by ich świat i dorastanie wolne było od niepewnej bolesności zmieniających się czasów i systemów w tym kraju), albo zagubieni w gąszczu ścieżek ku dojrzałości i samodzielności nieudolni (niewydolni?) introwertycy z papierosem w dłoni i książką pod pachą, którzy nie dali się wciągnąć w szaleńczy wyścig szczurów o posiadanie, mienie, wydawanie, przerabianie i wydalanie. Z Andrzejem Goździkowskim wspólnie studiowaliśmy polonistykę na szacownej krakowskiej uczelni z tradycjami, ale niekoniecznie piliśmy piwo w tych samych knajpach i od tych samych porach, nigdy nie zapaliliśmy w „Gołębniku” ani zażarcie nie dyskutowaliśmy o teoriach literatury i o samej literaturze. Mimo to jednak, czując solidarność wiekową i świadomość, iż obaj na pewno należymy do drugiej grupy tych, którzy szybkim krokiem zmierzają ku magicznej metrykalnej trzydziestce, winien mu jestem recenzję jego książki, którą niniejszym popelniam.

Bohaterami drugiej powieści Goździkowskiego są nasi rówieśnicy, ale są to ludzie, których nijak nie można sklasyfikować, a już na pewno nie sposób wtłoczyć ich w ramy poczynionej przeze mnie opozycji losów pokolenia '78. Mieszkają sobie ci bohaterowie, a raczej anti-bohaterowie na dziewiątym piętrze wieżowca z wielkiej płyty w smutnym, robotniczym mieście Elbląg. Ich mieszkanie jest swoistą enklawą – w nim to bowiem Szczena, Pirania, Kosmitka i Drobna izolują się od otoczenia, od twardych prawideł życia i współżycia narzuconych imperatywnie przez niekochaną przez nich IV Rzeczpospolitą. To oryginalne towarzystwo za nic ma powszechny obowiązek wbicia się w garnitur codzienności i dostosowania do oczekiwań polskiej rzeczywistości początku XXI wieku. Za nic ma zew uporządkowanej i zhierarchizowanej społeczności, jaka woła do nich, by wypełnili swą rolę wzorowych obywateli, matek, ojców, żon, mężów i wierzycieli banków, którzy będą spłacali kredyty. Ta „dobijająca trzydziestki młodzież ma mleko pod nosem, a całą resztę ma w nim”. Już ich lubimy, prawda? Jednak niekoniecznie mamy ich lubić, na kartach tej powieści mamy im się uważnie przyjrzeć. Poznajmy zatem doborowe towarzystwo skupione przy konsoli do gier komputerowych, programowo nieaktywne zawodowo i ustawicznie próbujące odnaleźć istotę swego człowieczeństwa, a także w jakiś sposób swoje człowieczeństwo zamanifestować.

Szczena na piątym roku studiów postanowił wziąć urlop dziekański i jakoś nie spieszy mu się, aby z tego urlopu wrócić i powalczyć o szacowny dyplom równie szacownej uczelni. Marzy mu

się za to kariera reżysera filmów offowych i wie, że kiedyś marzenie się spełni. Szczena bowiem jest przekonany o swoim ogromnym potencjale, który chwilowo drzemie w uśpieniu, czekając na odpowiednią chwilę, by zaskoczyć i oczarować świat.

Pirania wyłamał się z towarzystwa i dał się wkupić w łaski cieplej posady w budżetówce. Zmagający się z gimnazjalistami pan od angielskiego uważa się za „cool teachera”, ale sama „coolowość” nie wystarczy, by z marnej pensji belfra godnie utrzymać spodziewającą się dziecka żonę i samego siebie. Pirania jest więc gościem jakby z zewnątrz i choć mieszkanko na dziewiątym piętrze jest dla niego drugim domem. Nie może się już z tym miejscem w pełni utożsamić. Przyjacielskie więzy ze Szczoną obligują do bycia obok, grania razem w gry i trwania „niepodał” życia. Nie da się ukryć, że najlepiej wychodzi to Piranii podczas wakacji, kiedy to dzięki letnim miesiącom może wypiąć się na swą szkolną harówkę i rytm dnia zbudować na kolejnych wypijanych piwach, przejadanych słodyczach. Tylko smsy do żony potwierdzają, iż Pirania pamięta o obowiązkach męża i przyszłego ojca.

Drobna mocno wzmacnia budżet, którego fundamentem są dwie skarbonki – po małym dzemie na większą gotówkę i po dużym dzemie na brzęczące groszówki dające złudzenie posiadania sporej sumy. Drobna bowiem pracuje i to nie byle jak. Dziewczyna zalewa własne żale i frustracje darmowymi trunkami, jakie serwuje sobie sama za barem, za którym na co dzień musi użerać się z tymi, którzy godnie zarobili na kolejne nalewane im przez Drobnią piwo. Drobna nie ma złudzeń i na życie patrzy realistycznie. Wie, że w niedalekiej przyszłości czeka ją życie u boku męża – sadysty i brak jakiegokolwiek możliwości zrozumienia bólu i smutku poniewieranej żony. Mąż – sadysta na pewno będzie miał jednak artystyczną duszę i będzie Drobnią kochał do nieprzytomności, o czym poinformowała ją wróżka, a wróżkę uznaje Drobna za życiowy autorytet.

Kosmitka natomiast usiłuje być dobrą przyjaciółką Drobnej, wszak łączy je wspólne mieszkanie, wspólne pokoleniowe doświadczenie braku i pustki oraz wspólne pomaganie życiu przy okazjonalnym finansowaniu koncernów farmaceutycznych produkujących lek na całe zło – prozac. Kosmitka jednak nieco inaczej chce budować swą życiową drogę. Jest już tuż tuż od zdobycia dyplomu i stania się ważną absolwentką bardzo ważnych i szanowanych studiów psychologicznych. Znawczyni człowieczego wnętrza i meandrów psychiki, sama ma problemy z dokonywaniem wyborów, a jej życie nieustannie balansuje na granicy akademickiego światka odległego Krakowa i szarej codzienności robotniczego Elbląga.

Na dziewiątym piętrze mieszka z tą niesamowitą czwórką jeszcze jeden bohater. Zombie staje się rolą przydzieloną we wstępie książki dla czytelnika. Zombi będzie mieszkał z przyjaciółmi, poznawał ich życie i sam w nim uczestniczył. On także podpisze się pod słowami, jakimi na kartach powieści Goździkowski określa swoją trzydziestoletnią młodzież: „Jesteśmy załogą promu kosmicznego wystrzelonego w daleką i pełną złóż energetycznych przyszłość. Jesteśmy właściwymi

ludźmi we właściwym miejscu we właściwym, niełatwym dla nas czasie. Trzymamy się razem i oddychamy duchem drużyny. Chcemy stać z boku, przypatrywać się i z rozmysłem stawiać kroki, żeby nie wdepnąć w jakieś dorosłe gówno”.

Co porabia na co dzień załoga? Otóż załoga oddaje się przede wszystkim eksplorowaniu coraz to nowych światów w coraz to nowych grach komputerowych, w których mogą być panami swojego losu i w pełni o sobie decydować. W grach nie ma minimum socjalnego, urzędów pracy z kolejkami do wypełnienia danych potencjalnego bezrobotnego, nie ma w nich nakazu stawiania się „pomimo”, walki z urzędnikami, profesorami, dziekanami, sekretarkami. Nie ma w nich konieczności emocjonalnej i społecznej dojrzałości. Tam bierze się los w swoje ręce, choć w całkiem innym wymiarze.

Kult konsoli do gier jest ogromny i to konsola zajmuje w mieszkaniu centralne miejsce. To urządzenie staje się furtką do lepszego, spokojniejszego i dającego wiele satysfakcji świata zmysłów i doznań. Trudno winić grających o to, że stale balansują na granicy rzeczywistości i komputerowej fikcji, skoro ta druga jest dla nich kojącym remedium i tylko niej chcą się resztkami swych, osłabionych przez zupki instant i nadmiernych ilości alkoholu, sił trzymać kurczowo i nie puszczać mimo wszystko.

A z drugiej strony, z dala od złożoności wirtualnych światów marzeń, marzenia realizuje pracowity i dzielny młody Polak, który szturmem podbija irlandzki rynek pracy. Opis jego poczynañ stanowić będzie osobną, choć wplataną często i będącą w silnym związku z codziennością elblązan, historią kształtowania hartu ducha i pracowania w pocie czoła na „honorowe obywatelstwo”. To dzięki niemu po powrocie do znajomych z Elbląga zyska szacunek i będzie panował nad własnym światem za ciężko zarobione euro-banknoty. Ale elbląskie niebieskie ptaki, zdane na łaskę i niełaskę losu, nie będą zazdrościły kreatywnemu koledze, który zdobył się na czyn przekraczający ich możliwości i oddał swój niewykorzystany w Polsce potencjał na pożarcie zachodnioeuropejskiego kapitalizmu. To, czego on doświadcza nie dotyczy ich bezpośrednio, i nie są w stanie wyobrazić sobie życia i pracy poza bezpiecznym M w wieżowcu, w smutnym i robotniczym Elblągu. Ich „dom spokojnej młodości” będzie jedynym Eldorado i nie myślą oni o tym, by kiedykolwiek to Eldorado opuścić i zapracować jakoś na miano honorowego obywatela.

Autor konstruuje jednocześnie gorzkie i bolesne zwierciadło, w jakim mogą przejrzeć się ci, którym się nie udało albo którym się nie chce. Stendhalowska „zwierciadlana” rola „Leni” polega na błyskotliwym i wieloaspektowym ukazaniu przyczyn marazmu i abnegacji, jakie rodzą się w ludziach, którzy od dawna nie mogą się już uczciwie nazwać młodzieżą, a jeszcze na pewno nie czują się dojrzały. Zresztą dojrzały do czego? Do zdobycia intratnych stanowisk, do zamknięcia w zakładowe boksy, do rozmieniania swego życia na drobne, do nieustannej gonitwy za umykającym niczym sprytny królik pieniądzem? Do złożenia samych siebie, swoich marzeń i pragnień na

krwawym ołtarzu wymagającego od nich przedsiębiorczości i relatywizmu okrutnego świata?

Leni z mieszkanka na dziewiątym piętrze blokowca można oceniać, można im współczuć, a można też dołożyć kolejnego życiowego kopniaka. Jedno jest pewne – dzięki maestrii słownej autora postacie te ożywają w naszej świadomości tak mocno, że nakazują nam, czytającym tę książkę zrewidować swoje własne poglądy i dokonać rachunku sumienia, którego efektem będzie wystawienie gorzkiej i pełnej pretensji faktury dla urzędników odpowiedzialnych za kształt naszego kochanego kraju, z którego wyjeżdża coraz więcej tych, którzy z pewnością wiele dobrego dlań mogliby zrobić, ale którym zwyczajnie się nie chce. Tak, jak nic nie chce się leniom Goździkowskiego.

Ktokolwiek się tutaj leni, na pewno nie jest to autor. Jego zmysł obserwacji i umiejętność ich zapisu we frapującej i spójnej formie literackiej bynajmniej nie są świadectwem lenistwa. Nie leń się więc, czytelniku, tylko przeczytaj „Leni”. Zwłaszcza jeśli jesteś czytelnikiem z rocznika bliskiego autorowi książki i jej recenzentowi. Do pracy ! Pracy umysłowej, do jakiej na pewno zmusi lektura powieści Goździkowskiego.

*Andrzej Goździkowski, Lenie,  
Wyd. Lampa i Iskra Boża,  
Warszawa 2007.*

Dagmara Napieraj



# Historie codzienne Roncagliolo

Człowiek dzień w dzień jest zaskakiwany przez rzeczywistość. Zmaga się z wyzwaniem współczesności i problemami, które ta rzuca mu pod nogi. Nigdy nie jest pewien, co go spotka jutro. Jego drodze przez życie towarzyszy nieustanny lęk. Najpierw jest to lęk przed swoimi słabościami, przed swoją własną porażką i niepowodzeniem. Później przeradza się on w lęk przed innymi ludźmi. Człowiek boi się odrzucenia, wyśmiania, upokorzenia. Jest mu wstyd, bo nie jest taki jak reszta. Tak zwane słabości czy ułomności charakteru, ciała, umysłu sprawiają, że codzienna egzystencja staje się koszmarem. Rodzący się w człowieku wstyd doprowadza jego ciało i umysł do trwania w stanie wiecznego nieszczęścia.

Santiago Roncagliolo, peruwiański dziennikarz i pisarz na zaledwie 165 stronach powieści zatytułowanej „Wstyd” rozłożył tytułowe uczucie na części pierwsze. Aby to osiągnąć posłużył się modelem rodziny, która niczym chore drzewo, obumiera od środka. Każdy z członków rodziny tworzy swoją własną historię, skrywa jakąś „tajemnicę”, bo jest mu wstyd zarówno tego, że taką „tajemnicę” posiada, jak i tego, że miałby się do niej przyznać. Nie chce, a raczej nie potrafi, podzielić się swoją słabością z bliskimi. I tak, dzień po dniu, skrywany wstyd jak zaraza rozrasta się i niszczy więzi rodzinne.

Pojawia się niespodziewanie, zaraz po śmierci babci. Z początku jest jeszcze niewinny, bo dotyczy tylko małego Sergia, który od tego wydarzenia zaczyna widywać duchy. Jednak z biegiem czasu zaczyna dotyczyć coraz to poważniejszych spraw – ojciec rodziny dowiaduje się, że jest śmiertelnie chory, córka zaczyna fascynować się koleżanką z klasy, uczucie do niej wzmacnia się z każdym kolejnym dniem, a matka całą swoją uwagę poświęca dziwnym liścikom, które nie wiadomo skąd, pojawiają się w jej torebce, aż w końcu wplątuje się w bezpruderyjny romans. Do tego jeszcze dziadek uparcie chce iść do domu starców, bo zakochał się w kobiecie, która tam przebywa, i kot, który z całej siły pragnie powstrzymać swe miłosne żądze, ale jemu także nie udaje się zwalczyć wewnętrznej słabości.

Roncagliolo w mistrzowski sposób opisał świat i ludzi, którzy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Zamiast być ze sobą coraz bliżej oddalają się od siebie. Konkluzję książki stanowi stwierdzenie, że rodzina to nie tylko ludzie, rodzinę tworzą relacje między ludźmi. Gdy poczucie wstydu i zażenowania góruje nad relacjami świat żmudnie tworzony przez rodzinę nagle upada. I tak na przykład Alfredo nie wie jak powiedzieć żonie, że zostało mu kilka miesięcy życia, a Mariana, jego córka, musi borykać się sama z problemami dojrzewania, ponieważ rodzice są zbyt

zajęci własnym życiem, aby zauważyć, że ona też ma problemy. W ten oto sprytny sposób autor pokazuje, jak zapatrzenie w siebie i swoje bolączki, doprowadza do powstawania rys na wzorcowym modelu rodziny.

Można by zarzucić Santiago Roncagliolo, że przejaskrawił bohaterów powieści i ich problemy. Wydawałoby się, że autor najpierw nadał tytuł książce, a dopiero później na siłę próbował napisać fabułę. Każdej postaci przypisany został już na samym początku taki, a nie inny los i choćby nie wiem, jak by się starali i tak nie pozbędą się swojego wstydu. Jednak siła Roncagliolo i „Wstydu” tkwi właśnie w przejaskrawionej ironii. Gdyby nie tak wyraziści bohaterowie i nie tak wyrazisty kot, wstyd nie byłby tak wielki, a zarazem tak prawdziwy.

*Santiago Roncagliolo, Wstyd,  
przeł. Tomasz Pindel,  
Wyd. Znak,  
Kraków 2007.*

Tobiasz Sobos



## intro, 8 leveli, outro i happy end

Jakub Żulczyk to kolejny, po Dorocie Masłowskiej, przedstawiciel młodej generacji literackiej (ur. 1983) wywodzący się spod skrzydeł Pawła Dunina-Wąsowicza. Lampa i Iskra Boża wydała bowiem debiutancką powieść tego studenta dziennikarstwa UJ, a „Zrób mi jakąś krzywdę, czyli wszystkie gry video są o miłości”, książka napisana w cztery miesiące, to historia pewnej znajomości, a nawet pewnej miłości.

Bohaterami są Kaśka i Dawid. On o sobie: „mam dwadzieścia pięć lat, chyba łysięję, i powoli uwypukla mi się brzuch, nie obgryzam już paznokci, szukam pracy” (s. 15). Ona natomiast ma piętnaście lat i wszystko wie: „Wiem jak zrobić serwer z Xbixa; wiem jak pisać aplikacje do paneli sterowania w dużych bankach; wiem jak się malować, jakie kupić sobie majtki i jakie lubię słodycze” (s. 13). Można by pomyśleć, że zapowiada się „Lolita” po polsku, nic bardziej mylnego. Dawid zakochuje się w Kaśce. Z pozoru nic ich nie łączy. Dawid poznaje swoją nieletnią miłość na imprezie u kolegi, który jest bratem Kaśki. Już po imprezie widać znaczne różnice między nimi: kiedy on cierpi katusze z powodu kaca, ona gra w Nintendo.

Chłopak postanawia spędzić z nią piękne chwile i wykorzystując chwilowy brak rodziców Gamecube Girl (tak w myślach Dawid nazywa Kaśkę), zabiera ją na wycieczkę. Czyżby uprowadzenie? Jadą autostopem do Sopotu. No i zaczyna się przygoda. Dawid jako starszy powinien opiekować się Kasią, dbać o to, by nie stała się jej krzywdą, ale dorosły facet, niestety, w chwili niebezpieczeństwa bierze nogi za pas. Oczywiście z tego powodu, że zostawił „dziecko” na pastwę losu, Dawid ma wyrzuty sumienia. Przygoda trwa. Niczym bohaterowie „Podróży za jeden uśmiech” (reż. Stanisław Jędryka, 1972) poznają nowych ludzi na swojej drodze i odkrywają prawdy o sobie. I tak Dawid uświadamia sobie istotę tej znajomości: „Od czasu, gdy przyjechałem po nią, gdy pokonałem sam tę trasę, nie myślałem o pieprzeniu; czy w ogóle traktowałem ją jako obiekt seksualny, jako ciało, w którym muszę umieścić kawałek mojego, pochłonąć, posmakować, zeżreć go tyle, na ile tylko jestem w stanie?” (s. 170). Kaśka dzięki wspólnej szalonej podróży-ucieczce ma szansę poczuć smak przygody, narkotyków i smak dzieciństwa, w końcu nigdy nie była w wesołym miasteczku ani na koncercie rockowym. Podczas wspólnej eskapady bohaterowie poznają różnych ludzi, którzy mają własny sposób na życie. Na przykład Wiktor – człowiek z jednym dredem na głowie jest zafascynowany New Kids on the Block i Mc Hammer’em, urządził pokój pamięci, gdzie trzyma wszystko ze złotych czasów kiedy był nastolatkiem. Podczas jednego z noclegów przypadkiem trafiają na plan amatorskiego filmu porno. Wszystko jest (prawie) beztrioskie, ale w

końcu zjawi się detektyw Czop, który na zlecenie rodziców Kaśki, a raczej matki i ojczyma, ma ją odnaleźć. Wtedy sprawy się komplikują.

To dziwna historia – *Ces't bizarre* – jak ciągle powtarza Kaśka. On żyje starym życiem studenckim, nie w głowie mu wyścig szczurów. W wakacje pozwala sobie na porwanie małoletniej, nie odbywa stażu w wielkiej korporacji, by móc sobie dopisać coś do cefalki, a w życiu zarobił może 50 zł. Mimo swoich dwudziestu pięciu lat mentalnie jest jeszcze dzieckiem. Historie, które przydarzają się Dawidowi mają swój komentarz w postaci wspomnień o dawnych czasach, z którymi nie chce się rozstawać. Przytacza filmy, nazwiska, zespoły, seriale – „Krwawy sport” Van Damme vs. Bolo Yang, „Karate Kid IV”, „Blues Brothers”, „Podróż za jeden uśmiech”, „Wojownicze żołnierze Nina”, Kim Wilde, Snap, Corky z „Dzień za dniem”, „Odyseja kosmiczna”, „W labiryncie”. Na imprezie rozpoczynającej książkę ma wielkie potrzeby seksualne, lecz w trakcie wycieczki z Kaśką, kiedy nadarza się okazja zbliżenia nie wykorzystuje jej – wszak jest studentem prawa i zdrowy rozsądek podpowiada mu, że „kto obcuje płciowo z małoletnim do 15 roku życia, dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej podlega karze pozbawienia wolności do 12 lat” (s. 215).

Kaśka natomiast to dziecko-niedziecko. To nastolatek współczesnych czasów, nastolatek, który znajduje przyjaciela w grze komputerowej i wie więcej na temat komputerów niż na temat swoich rodziców. „To jest dziecko, dla którego zabrakło skali IQ na badaniach, to jest dziecko, które rozwiązywało matematyczne testy uniwersyteckie, to jest dziecko, które przechodzi grę video w 5 godzin, a na pudełku jest napisane, że gra jest na 40, to jest dziecko, które różniczkuje w pamięci” (s. 265).

Dwie różne postaci: dorosłe dziecko i dorosły-dziecko. Czy ich miłość ma jakąś szansę?

Jakub Żulczyk stworzył ciekawą powieść. Mimo, że powieść wskazuje na to „że wszystkie gry video są o miłości”, to myślę, że jest tu także, oprócz gry miłosnej, obraz różnych ludzi i ich sposobów na życie. Ludzie ci mają jakieś wzory, które bezkrytycznie naśladują nie dając szansy na rozwój własnej osobowości. Bywa że wzory karykaturalne, ale zawsze jakieś. Dawid to niebieski ptak, Kaśka jest niewolnikiem gier, Wiktor żyje w świecie „Brava” i „Popcornu”, pani Ela jest lokalną gwiazdą porno, a detektyw Czop wszędzie widzi ruskie ufo, notabene prowadził kiedyś program w TV z własnymi akcjami.

Książka jest pełna zabawnych sytuacji, groteskowe sytuacje, które są udziałem Dawida i Kaśki podczas eskapady, a także dosadne myśli Dawida, które zbierają mu się w głowie podczas rozmów, wywołują uśmiech na twarzy czytelnika. W kilku miejscach Żulczykowi udaje się świetnie połączyć powagę z absurdem. Na przykład rozmowa Dawida z matką Kaśki, kiedy chłopak próbuje przekonać swoją potencjalną teściową, że nic (w sensie seksualnym) nie zrobił Gamecube Girl; matka wysłuchawszy go prosi o ogień, no i Dawid chce zarobić plusa: „zaczynam

grzebać w kieszeni, wymacuję zapalniczkę, ale muszę wstać, żeby ją wyciągnąć (...) grzebię w kieszeni, wyciągam ogień i wtedy na stół, jak jakiś kiepski dowcip Boga, spada zafoliowana paczka kondomów” (s. 267).

Reklamując książkę, która jak gra komputerowa ma intro, outro i levele, nazwano autora: „Najbardziej aroganckim prozaikiem dekady!”. Cóż po jednej książce już taki tytuł? Zobaczymy czy „zachowa” ten tytuł po ukazaniu się drugiej powieści – „Radio Armagedon”, ale to podobno pod koniec roku. Tymczasem uzależnieni od gier video niech sięgną po „Krzywde”.

*Jakub Żulczyk, Zrób mi jakąś krzywde, czyli wszystkie gry video są o miłości,  
Wyd. Lampa i Iskra Boża,  
Warszawa 2006.*